

JERZY MARCHOWIECKI

Wpadka (2)

– Haben sie zwei Weiber gepackt? (złapaliście dwie baby?) – zaśmiał się półgębkiem dyżurny.

– Ja, ja... wir haben gepackt... zwei Handlerrinnen – oświadczyli ci z patrołu.

Chwilę potem, popychając obie kobiety, weszli od razu do kolejnego pomieszczenia.

– Heil Hitler!... Heli Hitler! – padły hitlerowskie pozdrowienia.

– Seht mai, auf dieses... Nur ein augenblck... (spójrzcie na to... tylko jedną chwilkę) – i dowódca patrołu położył na stole umorusane zawiniątko.

Kiedy funkcyjny Wachman-skrobipiórek rozwinął paczkę, aż gwizdnął z przejęcia; nie omieszkał też wyrazić bulwersującej dezaprobaty:

– O! Szmuglerka... Handlarka! – zawołał. – Skąd to macie!

– Ja?... Znalazłam na rowie... przy szosie z Łobudzie do Zelowa...

– Co!?... Łiesz! – wykrzyknął żandarm. – Na jakim rowie!?

– Gadać, nie kręcić... gadać całą prawdę!... Siadać i gadać – zawołał drugi żandarm i wskazując ręką krzesło po drugiej stronie biurka, usiadł naprzeciw.

– Pytam się, skąd to macie?...

– Przecież już powiedziałam – odparła ze stoickim spokojem Maria. – Znalazłam to na rowie...

Konwersacja tego typu trwała dość długo, ale nie widać było żadnego efektu, śledztwo nie posunęło się ani o krok do przodu. Dyżurni Wachmani już, już mieli nadzieję, że zdobędą uznanie przełożonych, a tu nic i nic, literalnie nic.

– Poślij, po Kubego – powiedział trzeci Wachmann. – Jak przyjdzie Kube, to zaraz dowiemy się prawdy.

– Masz rację, Heinrich, powiedz Gerhardowi, żeby skoczył po Kubego... niech tu zaraz przyjdzie, bo mamy dla niego fuchę, a ty, głupia babo – zwrócił się do Marii – bądź pewna, że wszystko, jak amen w pacierzu wyśpiewasz... tylko przyjdzie Kube.

Minęło może z piętnaście minut, jak w komisarzacie pojawił się Kube we własnej osobie.

– Was ist los? (Co się stało?) – rzucił mimo woli.

Chwilę później przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw Marii. Wpadł mu też natychmiast w ręce pakiet odcinaków na mięso. Nie próbował nawet sprawdzić czy zatrzymana kobieta zna niemiecki język, a po polsku mówił, jak autentyczny Polak.

W tym momencie drugi żandarm postanowił otworzyć okno, ale zrobił to tak niezręcznie, że przewrócił stojące na stole wiadro. Jeżyny wyspały się na stół, a... pod spodem ukazała się, przykryta gazetą, całkiem inna zawartość, bo pod warstwą jeżyn, wiadro wypełniały jajka.

– O, jakie ładne jeżyny – zawołał żandarm, robiąc głupawą minę.

– O ho, ho! – poparł go z ironicznym uśmiechem Kube. – Szmuglerka... handlarka!... Tyle żarcia wiezie do domu... Pewnie nawet przez pół roku tego wszystkiego nie strawi... Ale my to ukroćmy, zlikwidujemy szmuglerów... i będziesz

żarła brukiew, rozumiesz?... A teraz gadać mi, skąd to masz?

– Ja już powiedziałam – odparła stanowczo Maria. – Znalazłam to na rowie i nie zamierzam zmieniać swego zeznania.

– Co!? – wrzasnął Kubę, zrywając się z krzesła. – Na jakim, znów rowie!?...

– Gadać, bo o... – i zamierzył się, wyciągając rękę, jakby chciał ją uderzyć. Jednak Maria, nie przestraszyła się groźby. Jeszcze się przysunęła bliżej.

– Proszę bardzo, niech pan bije! – wypaliła prosto w nos zdumionemu żandarmowi.

Takiego obrotu sprawy Kube naprawdę się nie spodziewał. Natychmiast stracił cały rezon. Sądził, że Maria przelęknie się groźby, że zacznie go błażyć, a ona co?... Postawiła się, jak nikt inny.

W gronie żandarmów Heinrich nie był Volksdeutschem, lecz Niemcem z Reichu. Pokręcił głową i stwierdził z uznaniem:

– Das ist ein richtig Polnisches Frau... (To jest prawdziwa Polka).

Natomiast Kube miał się naprawdę z pyszną. Przesłuchiwał od początku wojny setki osób. Znącał się nad zatrzymanymi aresztantami w nieludzki sposób, nie zważał na błagania, wprost przeciwnie, na błagania przesłuchiwanego reagował sadystycznie, bił jeszcze więcej i mocniej. Niejeden Polak stracił pod pięściami Kubego zdrowie.

– No cóż, handlarka!... – próbował ukryć swą konsternację. – Nie ma co... handlarka!

– A pan to niby z kartek żyje, co? – zapytała z głupia frant Maria.

– Ja?... Oczywiście!

– Z kartek?... A nie kupował pan od Cyrkowej zdechłych gęsi? – zaczęła przypierać go do muru „handlarka”.

– Gęsi?... Jakich znów gęsi?... Nie kupowałem żadnych gęsi – udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Jak to nie... Jak Cyrkowej zdechła gęś, to ładowała ją do worka, wsiadała na rower i wiozła do pana... a panu za każdym razem mówiła:

– Oj, cholera... udusiła się w tym worku... I pan zjadł dziewięć tych gęsi, a Cyrkowa się śmiała...

Kube wytrzeszczył oczy. Zaniemówił. To, co powiedziała Maria, było ze wszech miar prawdziwe. Natychmiast przypomniał sobie słowa Cyrkowej:

– Oj, choleres, gęś udusiła się w worku...

– Skąd pani to wie? – zmienił nagle ton swego głosu, jak i stosunek osobisty, nazywając przesłuchiwaną kobietę – „panią”.

– Ja?... Od Cyrkowej... oczywiście, od Cyrkowej.

Kube zamilkł. Widać było, że waha się, co ma począć. Rzeczywiście, zjadł... o zgrozo! Zeżarł dziewięć zdechłych gęsi! Zgrzytał w bezsilnej złości zębami, cedząc przez zęby przekleństwa... Chciało mu się rzygać, a jakże. Zaciskając pięści, powtarzał w kółko: – Das verdammtes Weib, Cirke!... Das...

Wreszcie, wyprostował się na krześle. Spoj-

rzał w oczy Marii, a jego wzrok najwyraźniej złagodniał. Odchrząknął szereg razy i zaczął półgłosem:

– Proszę pani, musi pani to potwierdzić... Spiszemy protokół, ja tą cholerną „Cyrkówkę” załatwię... Bóg mi świadkiem.

– Ha, ha, ha... – roześmiała się Maria. – Co pan?... Żeby mi ucieli głowę?

– Musi pani – nalegał Kube. – Musi pani... Oddam pani wszystko, co pani zabrali, wszystko, co pani miała...

– Niestety, proszę pana – oświadczyła Maria. – Ja chcę jeszcze pożyć...

– Niech się pani zastanowi – nalegał wciąż Kube.

– Nic z tego, proszę pana... Wolę iść do więzienia, prędzej czy później odsiedzę... Ja mam dzieci proszę pana, nie mogę ryzykować życiem... Mam dwóch chłopców: starszy ma dopiero trzynaście lat.

Po tym śledztwie, zakończonym prawie „serdeczną” rozmową, Marię i jej matkę odwieziono do aresztu śledczego w Łodzi.

Kube po raz pierwszy doznał porażki. Po uświadomieniu sobie, że naprawdę zjadł dziewięć zdechłych gęsi, był tak rozbity psychicznie, że nie wiedział, co z sobą począć; chwilami chciał zapaść się pod ziemię. Zamierzał pognać Marię, a ta, ku jego zaskoczeniu, wyciągnęła asa z rękawa i to on został pogiębiony, wręcz upokorzony. No cóż, nosił wilk razy kilka...

Już następnego dnia obie kobiety, szmuglerka i jej matka, wylądowały w areszcie śledczym w Radogoszczu w północnej części Łodzi.

Cela wypełniona była cizbą kobiet, przyłapanych na różnych przestępstwach lub o takowe posądzonych. Wszystkie, bez wyjątku, zajęte były rozmyślaniami nad swym niepewnym, okrutnym losem. Jedne żarliwie się modliły, inne głośno tłumaczyły się przed wymyślnym sądem, jeszcze inne milcząc kiwały się rytmicznie. Na ogół nic nie jadły. Nie tylko ze zmartwienia, po prostu nie wydano więźniarkom łyżek i zupę należało wypić wprost z miski, co dla większości kobiet było wręcz nieosiągalne.

Popis niepospolitej zręczności zademonstrowała w tej dziedzinie matka Marii. Potrafiła, prawie bez rozlania, nalać sobie w usta zawartość miski. Dzięki czemu, codziennie zjadała, a właściwie wypijała kilka porcji rzadkiej zupy. Zresztą, nie trzymano jej długo. Już czwartego dnia, w poniedziałek rano, została zwolniona do domu.

Maria wciąż czekała. Mijał dzień za dniem. W celi była znaczna rotacja. Jedne aresztantki odchodziły po wyrokach do innych więzień, a na ich miejsce przybywały nowe. Wreszcie, po ciągłym się w nieskończoność tygodniu, wywołano ją na spotkanie z prokuratorem.

Poczuła gwałtowny przyływ strachu. Tyle opowiadano o okrucieństwie tych sługusów hitlerowskiego wymiaru „sprawiedliwości”. Ludzie, na ogół, nie wiedzieli, kogo bardziej się bać, prokuratora, czy prowadzącego śledztwo